

Zachowuję twarz gładką i w dobrym stanie

Dzisiaj będzie nawoływanie do kupowania taniochy. Państwo zdziwieni? Przez lata przyzwyczaiłem Czytelników, że w tym miejscu naszego miesięcznika można znaleźć wezwania do sybarytyzmu. Żądałem nabywania gramofonów Ad Fontes za miliony, wzmacniaczy Wile za miliardy oraz kolumn rozmaitych krajowych wytwórców za w ogóle niepojęte pieniądze. Nie mówiąc o kablach, z których bezczelnie forsowałem Velum, jak wszyscy wiedzą, robione w piwnicy przez podejrzanych osobników, którzy żądają zapisów w testamencie w zamian za wynik swojej pracy. Ale dzisiaj odsapnę. Zrobimy sobie przerwę i pogadamy o goleniu.

Podobnie jak większość mężczyzn, golę twarz. Robię to regularnie od prawie czterdziestu lat i nie jestem w stanie obliczyć, ile już z mojego powodu żyletek, ostrz, jednorazówek i innych gadżetów spłynęło do morza razem z hektolitrami piany. Pójdzie w tysiące.

Początek był typowy dla mężczyzn z mojego pokolenia, czyli maszynka Junior firmy Wizamet (produkującej również kuchenki gazowe). W maszynkę wstawiało się żyletkę Polsilver (a jeszcze wcześniej Rawa vel Krwawa Lux, ale to – na szczęście – nie moja generacja) i powstałym ostrym narzędziem jechało z chrzęstem po fizjonomii. Ponieważ maszynka była skonstruowana tak, że na uparte go dało się nią również obcinać paznokcie, rezultat zwykle rozczarowywał, a niekiedy przerażał.

Z Juniorem ostatecznie rozstałem się w wojsku, gdzie oczekiwano golenia się w zimnej wodzie. W połączeniu z tępą żyletką żadna skóra tego nie wytrzyma i oblicza obrońców ojczyzny pokrywały się konstelacjami liszai, wyprysków i szram. Wyglądaliśmy jak niedoskubane kurczęta. Kto tylko mógł, przechodził na maszynki elektryczne Charkiw, jedyne wówczas dostępne. O szóstej rano od koszar szedł warkot jak z pola przy podorywkach, ale przynajmniej nikt nie chodził poraniony.

Niedługo później nastąpiła Wielka Zmiana, która w dziedzinie golenia przyniosła takie zjawiska, jak jednorazówki Bic (koszmar), żyłki Wilkinsona oraz produkty Gillette. Jakby się ktoś zastanawiał, skąd nazwa „żyłka”, to właśnie stąd; jeszcze po wojnie spotykało się czasem formę „żiletka”. Szybko się okazało, że istnieją wygodniejsze przyrządy do golenia niż pocziwa żyłta w rozkręcanej ręczce i elektryczne wynalazki znad Dniepru. W moim życiu nastała era maszynek z wymiennymi ostrzami. Początkowo z jedną krawędzią tnącą, potem z dwiema, na koniec – z trzema, a gdzieś w perspektywie zamajaczyły urządzenia

nawet z czterema nożami, odpowiednik Edwarda Nożycorękiego w świecie bród i wąsów.

I tak sobie szedłem spokojnie przez życie na pasku wielkich koncernów kosmetycznych (że tak powiem po marksistowsku), dopóki mniej więcej rok temu nie stwierdziłem, że jakoś tak od niedawna zamiast co dwa tygodnie (albo ostatecznie co tydzień), zużyte ostrze wyrzucam do śmietnika co trzy dni. Oczywiście był to ten sam model tego samego producenta, co przez ostatnie dziesięć lat. Ponieważ w międzyczasie dowiedziałem się od pewnego kolegi, zatrudnionego w centrali koncernu, o ciągłych pracach nad ostrzami, które będą się możliwie szybko tępiły, doszedłem do wniosku, że pora na zmianę. Widocznie używane przeze mnie od dawna nożyki doszły już do pożądanego etapu rozwoju i trzeba się rozejrzeć za innymi, jeszcze nie tak rozwiniętymi.

Oględziny w sklepach przyniosły otrzeźwienie. Kupiona na próbę jednorazówka Wilkinsona (cztery ostrza!) okazała się drzeć zarost dokładnie tak samo, jak przed laty, kiedy ostatnio próbowałem ich dwuostrzowych. Zwróciłem jeszcze uwagę na nowe Gillette Fusion Pro-cośtam (te nazwy są coraz bardziej pokręcone), ale najpierw sprawdziłem ceny i tutaj już był szok. Dotarło do mnie, że przez dłuższy czas kupowałem ostrza do golenia, płacąc średnio po 15 złotych za sztukę. Kiedy takie ostrze wystarczało na tydzień albo więcej, nie zwracałem na to uwagi. Ale kiedy wystarcza na trzy golenia, to już przesada. Wziąłem z kolei do ręki opakowanie ośmiu ostrz Fusion, które zamierzałem wypróbować, a tu cena prawie 140 złotych. Obok skromnie i znacząco połykiwało pudełeczko staroświeckich żyłek, 10 sztuk za siedem złotych. Ostatecznie kupiłem tymczasowo jednorazówkę i wróciłem myśleć do domu.

Od pewnego czasu, zamiast popularnego żelu w sprayu, używam mydła do golenia Wool Fat i normalnego pędzla z borsuka.

Daje to lepszy efekt golenia i w dodatku jest bardziej ekonomiczne. Żelu zawsze wywala się więcej, niż potrzeba. Teraz okazało się, że ten pierwszy krok w kierunku tradycyjnych metod ułatwił mi następne. Postanowiłem się cofnąć w rozwoju o ćwierć wieku i spróbować powrócić do golenia się żyłką. Sprawdziłem, co i jak, zasięgnąłem języka i dowiedziałem się, że golenie tradycyjne to cała ogromna nisza, zupełnie jak audiofilizm. Istnieją dziesiątki modeli maszynek ręcznych, mnóstwo marek i modeli żyłek, setki mydeł i kremów do golenia, pędzle z borsuka, szczeciny i z syntetyku. Nie mówiąc o brzytwach, które są chyba odpowiednikiem triody bezpośrednio żarzonej. Cały świat, jednym słowem.

Ja jednak nie szukałem nowego hobby, tylko chciałem się ogolić niedrogo i dokładnie, i żeby nie mieć przy tym wrażeń, że wyrzucam pieniądze do śmietnika. Ostatecznie zdecydowałem się na niemiecką maszynkę Merkur Progress, mającą bardzo pożyteczny gadżet w postaci regulacji kąta nachylenia ostrza, co pozwala zmieniać „agresywność” golenia. Do tego dorzuciłem paczkę polecanych przez doświadczonych kolegów żyłek Astra SP. Po paru dniach przesyłka znalazła się w moich rękach.

W tej chwili jestem po trzech goleniach w nowym systemie. Owszem, jest to trochę trudniejsze niż przy jednorazowych ostrzach, bo nie można skrobać się zupełnie na oślep. Wskazane jest najpierw wyćwiczyć właściwy kąt ułożenia maszynki do twarzy i stopień nacisku. Przydaje się lustro. Początkującym grozi zacerwienie w niektórych miejscach, a niezgrabom nawet lekkie zacięcia, zupełnie jak za czasów naszych ojców i dziadków. Jednak można tego uniknąć nawet przy pierwszej próbie (mnie się udało).

Zalety są dwie. Jedna, absolutnie nie do pobicia, to cena. Najdroższe żyłki, jakie udało mi się znaleźć, kosztują dwa złote za sztukę (kosmicznie ostre japońskie Feather, niezalecane greenhornom takim jak ja), przeciętne – złotówkę, zaś tanie – połowę tego. Jedna żyłka wystarczy zwykle na pięć-sześć razy (zwróćcie uwagę, że żyłka zwykle ma dwie strony). Jako ekwiwalent ostrza Mach3, które starczy mi na trzy razy i kosztuje kilkanaście razy więcej, jest to ekonomiczne objawienie. Drugim argumentem jest ochrona środowiska: w ten sposób naprawdę generuje się mniej śmiecia. No i jeszcze argument specjalnie dla naszych Czytelników: w dzisiejszych nieprostych czasach golenie się prawdziwą żyłką to jak używanie wzmacniacza z małej manufaktury.

Alek Rachwałd